

„Herody” w Będzinie

Przez ośnieżone puste pola jadą, rozbrzmiewając dzwonkami, samotne sanie. Na saniach okutany w futro woźnica. Nagle do dzwonek zimowego pojazdu dołączają się plynące z oddali dźwięki muzyki, śpiew, nawoływania. Za chwilę sanie otoczone zostają przez przedziwne stwory — Diabły z widłami, Śmierć z kosą, Króla w poziościej koronie. Gromada przebierańców gramoli się na sanie, staje na płozach, chwytają lejce. Wygląda na to, że porwa sanie i woźnicę. W rzeczywistości sprawa ma się inaczej. To samotny woźnica „porwa” większych przebierańców, by pokazać ich na teatralnej scenie.

Fragment filmu dokumentalnego „Opowieść najprawdziwsza o królach, diabłach i dziadach, żyjących jeszcze na świecie” ukazuje, jak to dyrektor Teatru Dzieci Zagłębia w Będzinie, Jan Dorman, „łowi” po beskidzkich wsiach koledników, herodów, dziadów i innych przebierańców, którzy w bożonarodzeniowo-noworocznym okresie — jak to za ojców i dziadów bywało — chodzą po koledzie. Dziś owo koledowanie ma już nieco inny charakter. Do tradycyjnego religijnego kultu coraz silniej dołączają się akcenty świeckie. Po sukcesach takich czy innych ludowych zespołów na festiwalach w kraju i za granicą odzyskuje folklor szacunek także wśród powojennego wiejskiego pokolenia...

A więc pojawiają się po beskidzkich wsiach kolednicy z gwiazdą czy turoniem, harczą w Żywieckiem dziady i szlachcice, odbywają się po krakowskich wsiach pastoralne widowiska, odwiedzają gospodarckie chaty przebierańcy.

Pierwszy pokazał ich w mieście, w scenicznych warunkach, właśnie Jan Dorman. Uznał koledowe zwyczaje za niezwykle teatralne i zorganizował ich doroczny przegląd. Od siedmiu już lat prezentują się „herody” na będzińskiej scenie. Nie trzeba podkreślać, jak bardzo tego rodzaju inicjatywy przyczyniają się zarówno do utrwalenia, jak i do ożywienia, nierzadko nawet wskrzeszenia dawnych koledowych zwyczajów — w swej najgłębszej istocie: widowisk teatralnych.

Zrozumiałam w pełni sens tego, uczestnicząc w tegorocznym Przeglądzie Zespołów Koledowych w Będzinie. Ileż — obok wartości etnograficznych, folklorystycznych, zabawowych czy obrzędowych wrzeszcze — jest w owych barwnych zespołach wartości czysto teatralnych. Od owego pomieszania legendy ze współczesnością, tragedii z humorem, motywów biblijnych z historią poprzez samą „gre” czy raczej zachowanie się bohaterów widowisk na scenie — zachowanie identyczne

jak w naturalnych warunkach wędrowek po wsi i odwiedzin sąsiadów — aż po atrybuty czysto zewnętrzne: kostiumy i rekwizyty.

W referacie wygłoszonym w czasie będzińskich spotkań wybitny nasz etnograf, prof. Reinfuss mówił arcyciekawie o nieuświadomionej teatralności życia wsi. Teatralności wyrażającej się zarówno w codziennych, uświęconych tradycją, pogwarkach, jak przede wszystkim w zwyczajach i obrzędach, wśród których wesele wiejskie jest regularnym przedstawieniem. Z podziałem na akty i sceny, z ustalonymi raz na zawsze bohaterami, z reżyserem-starostą.

Owa „teatralność”, tkwiąca niejako w psychice polskiego ludu, szczególnie żywo objawia się w tego typu zwyczajach, które zaliczyć można do spontanicznych, wypływających z wewnętrznej potrzeby. Do takich należą bez wątpienia różnorakie obrzędy koledowe, ożywiane dziś przez przypadkowe grupy „aktorów”. Szukajmy więc w „Herodach” — teatru!

Większość kobiecych ról realizowana jest przez mężczyzn (nawet panny młoda gra dziarski młodzian) — zgodnie z tradycjami najstarszego teatru. Oto liczne elementy improwizacji rodem z commedia

dell' arte. Ileż tu spontanicznych, rodzących się na żywo pomysłów (Diabeł wynoszący na widłach krzesło, które przeszkadzałoby następemu zespołowi), ileż bezpośrednich kontaktów z widzem, ileż mądrej teatralnej umowności („odczytywanie” prawdy o narodzinach Mesjasza wprost z pleców diabła). Teatr żywy!

A cały rozdział — ludowej szopki (dość obficie, acz raczej nudnie prezentowanej w Będzinie) — toż to przecież teatr autentyczny, z jasełek rodem. Ba, jest nawet... Szekspir. Oto kolednicy z Wąsacza Dolnego spod Częstochowy wprowadzają do swych „herodów” scenę grabarzy, szykujących grób dla Heroda. Jakże bliskie to rodowodem słynnej scenie z „Hamleta” — nie tylko w sensie anegdotycznym, także w swej najgłębszej wymowie teatralnej łącząca grozy z humorem.

Wielokrotnie zjawiają się na scenie kostiumy, jakby wyrosłe z projektów... szajnowskich. Oto Żyd z dziesiątkami puszek po konserwach na garbatych plecach. Oto Dziad obwieszony setkami świecidełek — od zabawowych kotylionów po jabłoneczkie broszki. Oto Żołnierz z mnóstwem olbrzymich orderów na piersi. Nie brak w koledowych widowiskach i elementów zbliżonych do tak modnego dzisiaj happeningu. Gdy Anioł, machając kropidłem, obrzuca zebranych deszczem confetti, gdy Żyd schodzi na salę, by sprzedać widzom bilety okrętowo-tramwajowe, a jego małżonka Sura zamazyszcze oblewa pierwsze rzędy wodą kolońską...

Ale zdarzają się i wpływy odwrotne. Niepokojące „kradzieże”, potwierdzające smutną prawdę, że lata żywotności polskiego folkloru — mimo pieczołowitej jego ochrony — są policzone... W podżywieckich „Dziadach” odnaleźć można liczne reminiscencje juvenalowe — łącznie z „nieprzyzwoitymi” napisami w „nieprzyzwoitych” miejscach. Albo rodem z westernowych filmów akcenty kowbojsko-indiańskie, na pewno nie wspólne nie mające z rodzimym folklorem.

Skojarzenia mnożyć by można bez końca. Przystaje dziwić utrwalający się mariaż będzińskiego teatru z kolednikami. Najstarszy z polskich Herodów, 81-letni Paweł Rapsztyn z Kamyca, i w tym roku otrzymał wyróżnienie. Jest to Herod przechowujący pieczołowicie swą koronę w skrzyni, by raz w roku włożyć ją na głowę i przekształcić się w dostojnego monarchę, Herod wbrew Biblii, wbrew legendzie i tradycji kończący swój koledowy „program” pokłonem przed betlejemską szopką...



Paweł Rapsztyn — „herodowy” senior.